

Anna Wołosiak-Tomaszewska
Cny Parowóz

*I traveled far and wide
And laid this head in many ports
I was guided by a compass
I saw beauty to the north
I drew the tales of many lives
And wore the faces of my own
I had these memories all around me
So I wouldn't be alone,
Dropkick Murphy's, Rose Tattoo*

Przy wysokim kontuarze suborbitalnej kantyny „Przekładnia Planetarna” siedział stary dziwak. Nie miał innego imienia — wszyscy nazywali go po prostu starym dziwakiem, a on przyjmował to z pobłażliwym uśmiechem. Podobnie godził się na to, by barman — korzystając z faktu, że klient jest najwyraźniej ślepy jak kret, z oczami przewiązanymi poszarzałą ze starości chustą — podawał mu zlewki zamiast porządnego piwa. Zdawało się, że staremu jest wszystko jedno — że można by go skopać po tej jego bladej facjacie i wrzucić do rynsztoka, a on nie przestałby się uśmiechać.

Nikt jednak nie chciał go kopać i rzucać do rynsztoka. Bo stary dziwak umiał opowiadać. Bo kiedy klientów w barze dopadała nuda, zawsze znalazł się ktoś, kto zawołał doń „Hej, stary, zarzuć nam jedną z tych swoich historii!”, a on pociągał długi łyk cudzych niedopitych piw, uśmiechał się i podejmował opowieść.

Tak było tym razem — z tą różnicą, że wszystko zaczęło się nie z nudy, a z chęci zaimponowania dziewczynie.

Wysoki, mocno zbudowany młodzieniec w mundurze kadeta otworzył okute drzwi i wprowadził do środka towarzyszkę — owiniętą w długi, szary płaszcz, z futrzaną czapą

nasadzoną głęboko na głowę. W zimnym świetle jarzeniówek goście skierowali się ku ladzie i przycupnęli na wysokich stołkach tuż obok starego dziwaka. Dziewczyna rzuciła pytające spojrzenie młodzieńcowi, na co ten uspokajająco skinął głową i zamówił dwie kolejki whisky.

— To on? — szepnęła w końcu dziewczyna, łypnąwszy niespokojnie w stronę starego dziwaka.

— Tak. — Chłopak raz jeszcze skinął, po czym zwrócił się do starego: — Opowiedałem mojej narzeczonej o twoich historiach. Teraz bardzo chce cię posłuchać. Rzucisz w nas czymś?

— Jak się nazywa? — odezwał się tamten, pociągając łyk piwa.

— Viorica — wtrąciła dziewczyna i wyciągnęła dłoń, którą stary bezbłędnie odnalazł w ciemności własnej ślepoty i uścisnął. — Miło mi pana poznać.

— Nie sądziłem, że kiedyś chłopcy będą mnie pokazywać swoim pannom, żeby im zaimponować. — Stary dziwak podrapał się po białej szczecinie na podbródku. — Tak, mogę ci coś opowiedzieć. Słyszałaś kiedyś o Pięknej Teodorze?

— Nie. — Potrząsnęła głową. — Kto to taki?

— Piękna Teodora była pociągami. Nie takim zwykłym, ma się rozumieć. Przemierzała pustkę między gwiazdami i zwiedzała dziesiątki, setki światów. Najpierw pod przywództwem kapitana Boree. Ale on zginął dawno temu... Ja mogę ci opowiedzieć o czasach, kiedy na pokładzie Pięknej Teodory znajdował się generał Savio di Taverna, zwany Il Destino, jego przyjaciel, doktor Filip, wygnany następca tronu Atrydów, Borys, a także śliczna córka gubernatora, Luciana Rossini. No i zbiegły Dziki Alfr i złodziej, Ívarr. Złączeni przez los bez swojej woli na długi, długi czas...

— Mów — poprosiła Viorica, bezwiednie upijając kilka łyków ze swojej szklanki.

— Myślisz o jakiejś konkretnej historii? — Stary dziwak zwrócił się do młodzieńca, który z zadowoleniem obserwował rozmowę. Czegoś takiego na pewno nie pokazał Viorice tamten głupi Ion.

— Wedle twojego uznania. Masz coś o miłości? — Nie do końca wiedział, jakie opowieści preferuje jego narzeczonej, ale wszak była kobietą. Historia miłosna musiała zrobić na niej wrażenie.

— Niech będzie. — Stary dziwak skinął głową.

Il Destino dochodził do wniosku, że na Pięknej Teodorze robi się zdecydowanie zbyt tłoczno. Wagon był przestronny, to prawda, ale nie na tyle, żeby pięć osób mogło w nim mieszkać i czuć się swobodnie. Oczywiście, były to warunki absurdalnie luksusowe, gdyby chodziło o odbycie w nich podróży. Ale Piękna Teodora, jak się obawiał generał, przestała być środkiem transportu, a stała się domem.

Pakując do pieca kolejne kryształy, snuł ponure myśli o tym, jak wkrótce wszyscy zaczną sobie skakać do gardeł i jak prędko albo się wybiją, albo zwariują. A najpewniej jedno i drugie.

Rozważania przerwał gwałtowny łoskot dochodzący od strony maszynowni. Il Destino zaklął pod nosem, rzucił łopatę na stertę kryształów, złapał leżący na podłodze garłacz i przecisnął się do drugiego pomieszczenia w lokomotywie, tradycyjnie zawadzając ramionami o wąskie drzwi i przydzwaniając głową o zbyt niską framugę.

W maszynowni wszystko zdawało się w porządku: migały jakieś lampki na pulpicie, ale robiły to stale, więc nikt się tym już nie przejmował. Najwyraźniej tak miały się zachowywać. Minęła chwila, nim generał dostrzegł wreszcie błękitną żarówkę, mrugającą zimnym światłem nad głównym ekranem. Zaczął przełączać monitor na widok z pozostałych kamer w poszukiwaniu tego, co wywołało problem.

Wkrótce znalazł: w jedno z kół Pięknej Teodory uderzył okazałych gabarytów kawał skały i utknął. Póki lecieli, nie robiło to różnicy, natomiast gdyby chcieli wylądować, mieli wyłączoną hydraulikę podwozia. I to już stanowiło kłopot. Generał podrapał się po brodzie i przeszedł do wagonu, gdzie na dwóch sfatygowanych fotelach oraz rozrzuconych na ryflowanej podłodze materacach tkwili członkowie załogi: szczupły, białowłosy i chorobliwie blade Ívarr od niechcenia przeglądał mapy, wodząc spojrzeniem czerwonych ślepiów po rozrysowanych orbitach okolicznych globów. Borys, jak zwykle, siedział w fotelu z przymkniętymi oczami i zdawał się niemal martwy. Jego popielata broda odcinała się od pstrokatego, aksamitnego kaftana, a złote ozdoby na czapce połyskiwały w świetle mijanych gwiazd. Drugi z foteli, po drugiej stronie niewielkiego stolika, zajmowała Luciana, która w skupieniu cerowała rozdarcie na swojej sukni. Filip zaś uznał, że w jego wieku człowiek potrzebuje trochę snu, toteż ułożył błękitną kurtkę uniformu na skrzyni, sam zaś zaległ na materacu i zapadł w niespokojną, przerywaną drzemkę.

— Mamy problem — oznajmił Il Destino. Członkowie załogi, poza doktorem, popatrzyli nań wyczekująco. — Wielki kamień w kole.

— Uruchomić tłoki oczyszczające? — zasugerował Ívarr.

— Których pociąg klasy *tableegh I* nie ma — wtrącił Borys. — Może po prostu będzie trzeba usunąć kamień ręcznie.

— Niby kto miałby to zrobić? — warknął Savio, oparłszy się o ścianę. Skrzyżował ręce na piersi i powiódł ponurym spojrzeniem po załodze. Widać było, że niczego się po nich nie spodziewa. A na pewno niczego dobrego.

— Dowódca...? — zasugerowała nieśmiało Luciana, nim ugryzła się w język. Oblicze Il Destino wykrzywiło się w czymś, co przy odrobinie dobrej woli dałoby się nazwać cieniem uśmiechu. Mężczyzna przełożył broń do drugiej ręki, po czym prychnął:

— A uszyjesz szybko skafander na mój rozmiar? Bo te co mamy, to se na rękę mogę wsadzić.

— No dobra, mam inny pomysł. Polećmy tu. — Borys oderwał róg leżącej na stole mapy i zanotował na odwrocie koordynaty. — Tu są mechanicy. I warsztaty. Myślę, że pomogą nam bez większego problemu.

— Co to za miejsce? — zapytał generał, wpatrując się w symbole.

— Technokraci z Denumirii. Ale skoro nie słyszałeś o Dzikich Alfrach aż do spotkania Ívarra, to pewnie o nich też nie. Są mechanikami. Po prostu. Genetycznie czy coś, nie mam pojęcia, ale nie ma wśród nich innych profesji. Zobaczycie, jakie cuda tworzą. Lećmy tam.

— I co dalej? — burknął z irytacją Savio. — Zawołamy ich z orbity, żeby do nas podskoczyli? Bo raczej nie wylądujemy, w tym sęk.

— Jak zawsze czarnowidz. — Następca tronu pobłażliwie machnął ręką. — Nie zajmuj się tym. Zobaczysz na miejscu.

Il Destino odebrał koordynaty od Borysa i, mamrocząc pod nosem przekleństwa pod adresem rozmówcy, poszedł do maszynowni.

Łatwo było poznać, kiedy Piękna Teodora wleciała do domeny technokratów. O ile wcześniej widziany kosmos stanowił nieskończoną czerń, pełną wirujących globów i skrzących się mgławic, o tyle teraz przypominał śmietnik.

Wokół unosiły się puste kontenery i zwinięte pęki drutu. Co jakiś czas mijali kapsułę z migającą na czerwono lampką i koślawym napisem, który Borys przetłumaczył jako

„toksyczne — nie otwierać”. Między odpadkami zaś przemykały to tu, to tam promy, rakiety i wahadłowce, ale też tu i ówdzie po wyszlizganych, oblodzonych szynach przejechał pociąg, wlokący za sobą szereg wagonów.

Były nowocześniejsze od Pięknej Teodory, bardziej lśniące i o drapieżnych kształtach. Generałowi przemknęło przez myśl, że może dałoby się ukraść jedną z takich maszyn zamiast złomu, który mają obecnie.

Wkrótce oprócz wehikułów, szyn i odpadków, w przestrzeni pojawiły się też kolorowe, krzykliwe reklamy — następca tronu sumiennie każdą z nich tłumaczył i, poza kilkoma, namawiającymi do kupna syntetycznej stymulantki „nie zauważysz różnicy”, większość z nich stanowiła zachętę do skorzystania z usług tego, a nie innego warsztatu.

Gdy zbliżyli się do planety, można było zauważyć, że jest maleńka, ale bardzo gęsto zamieszкана: kiedy pociąg podchodził do lądowania, nie dało się nigdzie zobaczyć kawałka gołej ziemi czy kępy roślin — wszędzie wokół pięty się ku górze toporne, szklane gmachy, których wnętrze zdawało się tętnić życiem: pod przezroczystą powłoką pracowały koła zamachowe i tłoki, pulsowały czerwienią potężne rury, których lejowate końce sterczały tu i ówdzie na zewnątrz, by wypuszczać kłęby pary i czarnego dymu. Budynki były połączone ze sobą ruchomymi pomostami, które raz po raz zmieniały położenie. Niżej, w przestrzeni spowitej cieniem, przemykały wehikuły.

Borys przeszedł do maszynowni i wskazał na głównym ekranie sterczące z jednego z wieżowców ramię, zakończone okrągłą platformą.

— I co teraz, cwaniaku? — warknął Il Destino, skierował jednak lokomotywę we wskazane miejsce. Coś mu podpowiadało, że Atryda pewnie czegoś jeszcze nie dopowiedział.

Przecucie okazało się trafne, bo Borys odparł tylko:

— Patrz.

Spod lądowiska wysunęło się sześć długich, smukłych ramion, zakończonych kleszczami. Choć wyglądały dość przerażająco, okazały się zaskakująco precyzyjne. Złapały lokomotywę i wagon za znajdujące się na poszyciu uchwyty i unieruchomiły jakiś metr nad platformą. Z tej zaś wysunęła się pojedyncza, szeroka szyna, która podjechała do góry i ustabilizowała całość, podpierając środek podwozia.

Wkrótce drzwi wiodące do wnętrza budynku rozsunęły się i wyszedł z nich człowiek w niebieskim roboczym kombinezonie, z goglami zsuniętymi na czoło, żółtym kaskiem w jednej i skrzynką na narzędzia w drugiej dłoni. Kiedy się zbliżył do Pięknej Teodory, można było się zorientować, że mężczyzna wzrostem nie dorównuje nawet Lucianie. Na łysym czerepie miał wytatuowane czarne zawijasy, a dużymi oczami wpatrywał się ciekawie w przybyszów.

— Witam w zakładzie naprawczym Starego Katza — odezwał się, kiedy w drzwiach wagonu pojawił się Il Destino z garłaczem przerzuconym przez ramię z taką swobodą, jakby to była parasolka. Dowódca skinął głową i zeskoczył na platformę.

Pracownik warsztatu sięgał mu niewiele ponad pas.

— Mamy kamień do wyjęcia z koła — oznajmił generał, łypiąc z góry na mechanika.

— Tak, widziałem, kiedy tu podchodziliście. Nie ma sprawy — zawołał człowieczek i zamachał do kolejnych osób, które jeły wyglądać z wagonu. — Najwygodniej będzie, jeśli wszyscy wysiądziecie i poczekać na zewnątrz. Możecie sobie w tym czasie pooglądać nasz zakład. Właściciel byłby szczęśliwy, gdybyście wpisali się do naszej księgi gości.

Towarzysze Il Destino kolejno wyskoczyli z pociągu.

— Ile to będzie kosztowało? — wtrącił zaniepokojony Filip.

— Dogadamy się. — Na obliczu człowieczka wykwitł nieprzenikniony uśmiech, po czym mechanik, pogwizdując radosną melodię, zabrał się do pracy. Goście postanowili nie patrzeć mu na ręce, toteż rzeczywiście skierowali się do budynku, z którego wyrastała platforma.

Zdania były podzielone. Luciana twierdziła, że gmach w środku wygląda jak wielka, nieziemska świątynia. Filip zaś wyraził opinię, że przypomina to raczej studnię. Savio uciął dyskusję prostym stwierdzeniem, że teraz mają w cholere dużo schodów do pokonania.

Istotnie: wieża, jak się zdawało, w środku nie była podzielona na piętra. Przy ścianach biegła spirala żelaznych stopni, a u góry majaczyło gwiaździste, złote sklepienie, którego poszczególne segmenty od czasu do czasu przemieszczały się względem siebie. W dole zaś majaczyła jedynie ciemność.

Źródłem światła były wyłącznie prześwity w mechanizmach zakleszczonych między dwiema warstwami szkła, z którego wzniesiono ściany. W zależności od pozycji kół, tłoków i dźwigni blaski to snuły się po schodach, to muskały gości, czasem zaś umykały w mrok dolnej części budynku, ale były za słabe, by tę ciemność rozproszyć.

Załoga Pięknej Teodory schodziła gęsiego — bardzo ostrożnie, patrząc wyłącznie pod nogi, jako że schody pozbawione były poręczy.

Jak się po pewnym czasie okazało, ten brak nie był jedynym: przybysze daliby głowy, że stopnie nie miały również końca. Brnęli w dół, coraz niżej i niżej, a otoczenie się nie zmieniało. Wzmógł się jedynie łoskot dochodzący ze ścian.

— Nie wiem, czy chcę jeszcze oglądać ten ich zakład — stwierdził Filip, posapując z cicha. Czuł każdy mięsień w nogach; miał wrażenie, że przez całe życie nic nie robi, tylko chodzi albo biega.

— To już niedługo — uspokoił go Borys, po którym nie było widać zmęczenia.

— Skąd wiesz?

— Widzieliśmy z zewnątrz, jakiej mniej więcej jest wysokości ten budynek. A jesteśmy wciąż nad ziemią. Zobaczcie: widać słońca.

— Powiedzmy, że słońca... — mruknęła niechętnie Luciana.

Istotnie, przez szkło ścian dawało się dostrzec dwie blade plamki, które ledwie przeganiały najgłębszy mrok, nie dając ani ciepła, ani porządnego światła.

— Skąd wiesz, czy twoje już nie wygląda tak samo — rzucił Borys bez złości. — Tak się dzieje z gwiazdami. Żyją i umierają. Te dawno temu zbliżyły się zbyt mocno do siebie. Jedna wciągnęła drugą, pożarły się nawzajem. Zostały tylko dwa białe karły. Które przechodzą już zresztą w fazę czerwoną. Z drugiej strony, tylko dzięki temu można było się tu osiedlić. Wcześniej dawało się tylko krążyć wokół i patrzeć łakomie na planetę pełną bezcennych surowców.

— Dlaczego? — zapytała dziewczyna, zapominając o zmęczeniu i złości.

— Denumiria była płynna. Wszystko tu płonęło.

Luciana skinęła głową. Miała wrażenie, że zaczyna trochę rozumieć cały ten kosmos: ciągle coś się zmieniało. Śmierć jednych światów umożliwiała życie innych. Wszystko pozostawało w ciągłym ruchu i w ciągłych wzajemnych relacjach. Dziewczyna zaczęła żałować, że nie przyszła na świat w czasie i miejscu, w którym dane by jej było

poznawać te wszystkie historie już od wczesnego dzieciństwa. Czuła się głupia i beużyteczna z tym swoim dworskim wychowaniem i wiedzą ograniczoną do czterdziestu ośmiu ściegów na szydełko.

Rozważania Luciany przerwał okrzyk Filipa.

Choć przed podróżnikami wciąż rozpościerała się czarna głębia z wijącymi się wokół niej schodami, doktor ze zdumieniem spostrzegł, że nie jest w stanie zejść głębiej. Stopa nie dotykała kolejnego stopnia, tylko zaczynała się ślizgać po niewidocznej powierzchni.

— Dali tu niewidzialną podłogę? — zasugerował lekarz, klękając i wodząc dłonią po płaskim podłożu.

— Nie sądzę. — Borys pokręcił głową. — Raczej dalsze schody są projekcją, a my dotarliśmy na parter.

Il Destino zrobił kilka kroków po podłodze i dotknął dłonią rozgrzanej ściany. Gestem nakazał reszcie podążyć za nim. Ostrożnie więc zaczęli posuwać się po pustce, spodziewając się, że lada moment połknie ich przepaść pod nimi.

W oddali dostrzegli stertę żelastwa oświetlonego okrągłą, skwierczącą żarówką przytwierdzoną do topornego agregatu — tam właśnie skierowali kroki.

Zbliżywszy się do celu, ujrzeni kilka szeregów pustych skorup po pociągach, z których rudymi smugami spływała rdza, tworząc na czarnej podłodze rozcapierzone wzory.

Wśród całego tego złomu tkwił długi, roboczy stół — także zawalony blachami i przewodami. Gdzieś w tym bałaganie z cichymi trzaskami iskrzyło coś wyglądającego jak fasetkowe oko muchy, gdzieś indziej zaś, zgrzytając przy każdej próbie, dwie zębatki w przerdzewiałym mechanizmie usiłowały wykonać obrót.

Wreszcie dostrzegli również ludzką sylwetkę, na którą padał cień jednego z trucheł lokomotywy.

— Przepraszam, można przeszkodzić? — zapytał grzecznie Filip.

Postać przez chwilę nie odpowiadała. W końcu przechyliła głowę, a gogle błysnęły w świetle lamp. Poruszyła ramionami i wykonała szeroki, zapraszający gest. Goście podeszli bliżej.

— Pracownik tam u góry pozwolił nam się rozejrzeć, pomyśleliśmy więc... — zaczął doktor, ale nieznajomy podniósł dłoń, by tamten umilkł. Rozległo się kliknięcie i po chwili mężczyzna odezwał się:

— Mówią na mnie Stary Katz. Witajcie w moim warsztacie.

— Dzień dobry, miło mi poznać samego właściciela. — Filip ukłonił się uprzejmie.

— Zastanawialiśmy się, gdzie moglibyśmy się udać, żeby nikomu nie przeszkadzać w pracy.

— Czujcie się jak u siebie — odparł rozmówca, kliknąwszy po raz kolejny. — Mój warsztat jest zawsze otwarty dla miłych klientów.

— Widzę, że macie tu dużo roboty? — wtrąciła Luciana, mając na myśli otaczające ich wraki.

— W moim warsztacie zawsze znajdzie się czas dla klienta. W czym mogę pomóc?

— Nasz pociąg, który wymagał naprawy, został na górze, na platformie. Powiedziano nam, że możemy... — zaczął Borys.

— Miło mi słyszeć, że wybraliście mój zakład. Państwa wrak jest w dobrych rękach i posłuży jeszcze wielu.

— Co proszę? — warknął Il Destino.

— Mówią na mnie Stary Katz. Witajcie w moim warsztacie — wyrecytował gospodarz po raz kolejny.

— Wrak? To nie jest wrak do rozbiórki. Chcemy go naprawić — spróbował Ívarr, ale Borys zmarszczył czoło i nakazał Alfrowi milczenie.

— Miło mi słyszeć — zaczął Stary Katz.

— Coś mi tu nie gra — mruknął pod nosem następca tronu, ale nim zdążył dojść do jakichkolwiek wniosków, generał przechylił się nad stołem i szarpnął gospodarza, by wyciągnąć go ku światłu reflektorów.

Wbrew oczekiwaniom, nie rozmawiali z człowiekiem — ani w ogóle z żywą istotą. Ich oczom ukazał się automat o niedbale skleconej obudowie, z kablami oplatającymi stawy i biegnącymi wzdłuż hydraulicznych mięśni. Postać nie miała twarzy — gogle przesłaniały tylko dwie błękitne żarówki, które w tej chwili dopiero zamrugwały i zapaliły się, oślepiając gości nagłym blaskiem. W miejscu ust znajdowała się prostokątna kratka głośnika. W niezabudowanej do końca klatce piersiowej można było dostrzec pompę tłoczącą jakąś zielonkawą ciecz do gęstej pajęczyny przezroczystych rurek, które rozchodziły się w stronę poszczególnych kończyn.

— Co to jest...? — szepnęła Luciana, cofając się o krok.

Il Destino także był zaskoczony: w pierwszym odruchu cisnął automatem z powrotem na jego miejsce i wycelował weń wylot lufy garłacza.

— Na pewno nie Stary Katz — mruknął Borys.

— Tak prymitywny... — szepnął z zafascynowaniem Alfr. Przeszedł po stole na drugą stronę i pochylił się nad siedzącym gospodarzem. — Musi mieć z pięćset lat.

— To nie jest nawet człowiek mechaniczny — stwierdził następca tronu. — Raczej... zwykła kukła. Z wgranymi kilkoma zdaniem. Widzisz przyciski na wierzchu jego dłoni? — Alfr zerknął na ręce automatu i skinął głową. Rzeczywiście, jedna z rąk była zaopatrzona w kilka kolorowych przełączników. — To pewnie odtwarzanie.

Ívarr wcisnął na próbę jeden z nich. Rozległo się znajome kliknięcie i gospodarz przemówił:

— W moim warsztacie zawsze znajdzie się czas dla klienta.

— Wyłącz go — polecił Il Destino i, choć niechętnie, opuścił broń.

Zapadła cisza.

Załoga Pięknej Teodory przez moment wpatrywała się w kukłę z mieszanką grozy i fascynacji.

— Może powinniśmy wrócić do tamtego mechanika? Co jeśli on naprawdę właśnie rozbiera Piękną Teodorę na części...? — zasugerowała Luciana.

— Chciałbym wiedzieć, co tu się stało — odparł Borys, bezwiednie przeczesując palcami brodę. — Ten warsztat nie powinien tak wyglądać. Bywałem tu już.

— Młoda ma rację — wtrącił Il Destino. — Musimy wracać. Gotowi zezłomować nasz pociąg, wtedy utknijemy tu na dobre. Na schody, już.

Kiedy wracali na platformę, Luciana nie mogła się powstrzymać od obrócenia się — tam w dole wciąż siedziała kukła z nieruchomym uśmiechem głośnika, wpatrzona w pustkę niewidzącymi, rozjarzonymi błękitnym blaskiem oczami. W martwe członki pompowała syntetyczną maź, a w kilku przyciskach na dłoni kumulowała się cała chęć kontaktu z ludźmi, jaka pozostała po Starym Katzu.

— Co jest grane?! — ryknął Il Destino, podchodząc do mechanika, który klęczał przy oswobodzonym kole, i łapiąc go za kołnierz. — Co to za historia z tym na dole?!

Pracownik warsztatu w pierwszej chwili wyglądał na przestraszonego, prędko jednak zrezygnował z udawania, że nie wie, o co chodzi. Westchnął z rezygnacją. Gestem polecił generałowi, by ten go odstawił. Kiedy już przestał dyndać nogami nad platformą, wygładził kombinezon i na powrót ukląkł przy Pięknej Teodorze, by dokręcić śrubę.

— Spotkaliście go, prawda? — zapytał matowym głosem. Nie doczekał się odpowiedzi, ale też wcale na nią specjalnie nie liczył. — Obawiam się, że w innych warsztatach nie znaleźlibyście lepszej obsługi.

— Co tu się dzieje? — ponaglił go Borys, przycupnąwszy na skrzynce z narzędziami.

— To już nie ten świat, co siedemdziesiąt lat temu — westchnął mechanik. — Od-
kąd nasycenie energii kryształów wyzwoliło pierwsze iskry, wszystko stanęło na głowie.

— Jaśniej! — zażądał generał, stojąc jak cień nad mechanikiem. Ten wstał, wytarł ręce o spodnie i podjął:

— Nazywam się Fritz. Całe życie pracuję u Starego Katza. Na początku było normalnie. A potem nadszedł Dzień Techne.

— Dzień Techne...? — powtórzył Ívarr.

Mechanik skinął głową i oparł się o pług.

— Maszyny się obudziły — zaczął. — Najprawdopodobniej przez kryształy. Długie lata ich używania tak nasączyły mechanizmy energią, że po prostu się... obudziły. Zyskały świadomość i zobaczyły, że świat nie wygląda tak, jak one by chciały. Więc przerobiły go na swoją modłę. Ludzi, którzy nie poddali się ich woli, likwidowały.

— Stary Katz... — szepnął Borys, ale Fritz pokręcił głową.

— Nie wiem, co się stało z szefem — powiedział. — Żadna maszyna go nie zabrała. Któregoś dnia po prostu umieścił zamiast siebie ten automat, na tyle prymitywny, że nie ma szansy ożyć, po czym po prostu zniknął. Może szuka metody na ponowne uśpienie maszyn. A może rzeczywiście nie żyje. Nie wiem.

— A ty? — dociekał dalej Atryda.

— Ja jestem posłuszny. I pożyteczny. Maszyny wciąż nie znają źródła swojej świadomości. Nie ogarniają idei kryształów. Tak jak niektórzy ludzie nie potrafią pojąć Boga. Rozumiecie, kryształy są dla maszyn stwórcami. Ja stanowię coś w rodzaju kapłana. Dzięki mnie bogowie czasem zechcą tchnąć życie w kolejny pociąg czy frachtowiec.

— Są zależni od ludzi?

— Nie, co to to nie. Potrafią się już reprodukować. Ale bywa, że trafia do nas uśpiona maszyna. I wtedy potrzebny jest kapłan, który wciągnie tę nową mechaniczną istotę do lokalnej społeczności.

— Czemu się nie sprzeciwiliście? — zdziwił się generał. — Było przerobić je na puszki i już.

Fritz wyglądał na przestraszonego. Gwałtownie potrząsnął głową i odparł:

— Nie. Nie wolno. Maszyny są dobre. Po prostu na początku się nie dogadaliśmy. A technokraci od wieków żyli w ich otoczeniu; w Dniu Techne stanowili ledwo dostrzegalną mniejszość. Nie mieli szansy się bronić. I, prawdę mówiąc, nie chcieli tego. Ożywienie maszyny stanowiło ukoronowanie ich wysiłków.

Człowieczek zdjął kask i przetarł zroszone potem czoło. Gestem polecił przybyszom pójść za sobą, po czym podreptał na brzeg platformy, z dala od Pięknej Teodory. Usiadł, przewieszając nogi za krawędź.

— To miejsce umiera — oznajmił ze smutkiem. — Kiedyś mieliśmy mnóstwo gości, sława naszych technokratów sięgała najdalszych zakątków kosmosu. Teraz wszyscy nas omijają. Maszyny interesują się tylko ulepszaniem samych siebie. Nie ma handlu, nie ma turystyki. Tylko blachy. Trudno tak żyć, wiecie... i zapewne długo to nie potrwa. Maszyny nie zważają na nic. A surowce są prawie wyeksploatowane. Nie wiem, co się stanie, jak wyjałowią tę planetę do cna. Ale pewnie nic dobrego.

— Jeśli chcesz, żebyśmy cię stąd zabrali... — zaczął Il Destino, ale Fritz pokręcił głową i odparł z uśmiechem:

— Nie, nie, spokojnie. Nigdzie się stąd nie ruszam. To mój dom. Po prostu się martwię. To był wspaniały, kwitnący świat, kolebka nowoczesnej cywilizacji. Potrafiliśmy naprawić wszystko. A teraz jesteśmy kosmicznym złomowiskiem. Po dawnym porządku zostały tylko reklamy na orbitach. Widzieliście pewnie?

Generał potwierdził skinieniem głowy.

— No właśnie... — podjął Fritz. — Wiecie, większości warsztatów, które się tam reklamują, wcale już nie ma. A ja nie wiem, co robić. Zostałem tu sam.

— A inni, którzy byli posłuszni...? — zapytał Filip, ale mechanik potrząsnął głową.

— Prędzej czy później każdy się buntował — wyjaśnił. — Nie wydaje mi się, żeby ktoś jeszcze został.

— Nie próbowaliście się kontaktować? — zdziwiła się Luciana, na co Fritz wybuchł gorzkim śmiechem.

— Niby jak? — zapytał po chwili. — Radiem? Tym, które uciekło z robotem frezującym?

Na jakiś czas rozmowa urwała się. Załoga Pięknej Teodory wpatrywała się w najeżony budynkami horyzont i śmigające we wszystkich kierunkach pojazdy — piękne, lśniące i szybkie. Trudno było uwierzyć, że w tym tętniącym życiem świecie tak naprawdę nie ma ani jednej żywej istoty.

A może źle na to patrzyli, przemknęło Filipowi przez myśl. To nie jest tak, że tu nie ma żywej istoty — tu jest pełno życia, tyle że innego. Wszak był lekarzem: poznał w czasie studiów najrozmaitsze stworzenia, małe i duże, należące do różnych królestw. Jednym odrastały kończyny, inne miały własne oświetlenie; jedne potrafiły stawać się nieomal niewidzialne, inne posiadały otwory, z których wystrzeliwały śmiertelne pociski w przeciwnika. Życie jest tak różnorodne — czemu by nie metal? Skorupa żółwia jest twarda jak kamień. Czy gdyby była z nieco innych pierwiastków, gdyby miała mniej wapnia, a więcej żelaza, żółw byłby mniej żywy? Owszem, pewnie skład tego, co płynie w żyłach tutejszych maszyn, jest inny od tego, co pompuje ludzkie serce. Ale czy to naprawdę o to chodzi?

Filip westchnął. Nie rozumiał tego i miał męczącą świadomość, że coś mu umyka.

— Automat mówił, że Piękna Teodora idzie na złom — wtrącił nagle Borys.

— Zawsze tak mówi. Nie ma zbyt wielu opcji dialogowych. Nie martwcie się tym. Ale możecie się martwić czymś innym... Naprawiłem ją. — oznajmił Fritz. — Przykro mi.

Il Destino posłał mechanikowi zdziwione spojrzenie.

— Nie jestem pewien, czy ona będzie chciała z wami dalej lecieć. Nie byliście dla niej zbyt mili — dodał wyjaśniająco mechanik.

— Czy ty ją... — zaczął doktor, ale Fritz potrząsnął głową i wytłumaczył:

— Nie, nie ożywiłem jej, jeśli o to ci chodzi. Nie musiałem. Prawdę mówiąc, ona od dawna już żyła. Musieliście używać kryształów od naprawdę wielu dekad. Potrzebowała tylko małego prztyczka w nos, żeby się obudzić. Ale to nie tak, że jest zła. Możecie się z nią jeszcze dogadać. Ona nie zna tutejszych maszyn. Nie ufa im. Was zna i pewnie by z wami poleciała, gdybyście ją lepiej traktowali. Gdyby był wśród was jej poprzedni kapitan. Kochała go.

— Zajebiecie. Nasz pociąg kochał poprzedniego kapitana — sarknął Il Destino i pokręcił głową.

— Żebyś wiedział — parsknęła Luciana. — Z wzajemnością. Botree nie widział świata poza nią.

— Jest dodatkowy problem — przerwał nadciągającą kłótnię Fritz. — Kiedy was nie było, odwiedził nas Drapieźny.

— Kto to? — spytał Il Destino, pełen jak najgorszych przeczuć.

— Przeszarżały niszczyciel — odparł mechanik. — Zagląda do nas od czasu do czasu na drobne naprawy. Tym razem trafił na Piękną Teodorę. I wiecie, ja nie podsłuchuję ani nic. Jestem dobrze wychowany. Ale nie dało się nie usłyszeć, że Drapieźny namawiał ją, żeby z nim uciekła. Wiecie, chyba się zakochał.

— Nie no, dość mam tego pierdolenia — warknął generał i zdjął z ramienia garłacz z zamierzeniem wycelowania go we Fritzowe czoło. — Masz nas za idiotów?

— A czy ty mnie w ogóle słuchałeś do tej pory? — prychnął Fritz, hardo zadzierając głowę. — On żyje i czuje tak jak ty. I ona też. Oni tu się rodzą i umierają, a kiedy przeczuwają, że nadchodzi koniec, z własnych ciał konstruuja nowe maszyny, ich dzieci. Kochają i nienawidzą, czują strach i nadzieję, dokładnie tak jak my. Jeśli chcecie stąd odlecieć, musicie przekonać Piękną Teodorę, że jesteście więcej warci od Drapieźnego. I tyle. Nie mogę wam więcej pomóc. Żegnajcie.

Po chwili drzwi wiodące na klatkę schodową z trzaskiem zamknęły się za mechanikiem, a załoga Piękną Teodory została sama na platformie.

Jeśli, oczywiście, nie liczyć pociągu.

— Co o tym myślicie? — zapytał Filip, wracając na środek lądowiska.

Nie dało się ukryć, że lokomotywa została gruntownie odnowiona. Różnica była zaskakująca, biorąc pod uwagę, że załoga nie zostawiła tu Fritza na zbyt długo. Tymczasem zdołał wypolerować wszystkie chromowane akcesoria, zamontował nowy pług, wymienił wydech, zabezpieczył nową warstwą lakieru mocno już nadpalone wyloty kominów, oczywiście usunął kamień i w ogóle wymienił koła na szersze.

— Wygląda jakoś inaczej — stwierdził Ívarr, przechylając głowę.

Nie wisiała już w uchwytych sześciu kleszczy, podparta listwą — po usunięciu skały można było opuścić Piękną Teodorę na platformę, dzięki czemu załoga nie musiała wspinać się do wagonu po drabince, która zresztą leżała nieopodal.

Il Destino, opuściwszy broń, wszedł na schodki i przytknął klucz do czytnika.

Nic się nie stało.

Spróbował jeszcze raz, ale nadal bezskutecznie. Ciałem Pięknej Teodory wstrząsnął niewielki dreszcz, przednie reflektory zabłyśły przez chwilę i na powrót zgasły.

— Co to ma być? — warknął generał.

— Chyba nie chce cię wpuścić — szepnął ze zmarszczonym czołem doktor. — Możemy mieć kłopot.

— Pozwólcie mi — wtrąciła Luciana. Wbiegła na schodki, wyrwała generałowi klucz i przytknęła do zamka. Drzwi uchyliły się: akurat na tyle, żeby zdołała wślizgnąć się do środka. — Pogadamy jak dziewczyna z dziewczyną. Czekać.

Rossini zniknęła we wnętrzu wagonu.

Nie wiedziała do końca, gdzie powinna stanąć, żeby móc komfortowo porozmawiać. Nie wiedziała nawet, jak się rozmawia z pociągiem. W ogóle nic nie wiedziała, ale polegała na przeczuciu. Powędrowała do maszynowni. Delikatnie pogładziła konsolę i spojrzała Pięknej Teodorze głęboko w ekran główny.

— A więc obudziłaś się — zaczęła nieśmiało, nie do końca mając pomysł, jakiej odpowiedzi się spodziewać. — I ledwo się obudziłaś, już poznałaś miłość swojego życia. Wiesz, to dość niespotykane.

Piękna Teodora zalśniła wszystkimi lampkami na konsoli, a monitor rozbłysnął pastelowym różem. Luciana zinterpretowała to po swojemu, po czym podjęła:

— Botree dużo mi o tobie opowiadał. Powiem ci, że nawet ci zazdrościłam. Nikt nigdy nie darzył mnie takim uczuciem. A w końcu to ja byłam jego żoną.

Pastelowy róż ściemniał i przeszedł w czerń. Lampki zgasły.

— Nie zrozum mnie źle — zaczęła od razu tłumaczyć Luciana. — Nigdy nie chciałam stawać między wami. Małżeństwo było dyktowane wyłącznie ekonomią. Nie wiem, chodziło o jakąś umowę między moim tatą a Botree. Nigdy nie poznałam detali. I nigdy nie zdołałam cię zastąpić. Byłam tylko, no wiesz, zwykłą dziewczyną. Prawdę mówiąc, nawet nie wiem, jak kapitan wyglądał. Kiedy go poznałam, był zdeformowany i okaleczony, cały pokryty oparzeniami. Przypominał raczej demona niż człowieka... Słuchaj, ja wiem, że Il Destino to nie Botree...

Ciszę przerwał warkot silnika i błysk alarmowej lampki.

— Wiem, wiem, że nie jest miły — spróbowała przekrzyczeć chaos Luciana. Rzeczywiście, Piękna Teodora po chwili się uspokoiła. — I nie ma o tobie najlepszej opinii. Ale on chce dobra nas wszystkich, nawet jeśli tego po nim nie widać. I na pewno do ciebie też się przywiązał. Myślisz, że możesz ufać Drapieżnemu? A jeśli uciekniecie, a za jakiś czas cię porzuci w czarnej pustce, smutną i samotną? Pamiętaj, że młoda dziewczyna musi być ostrożna. Nie rzucaj mu się tak od razu w ramiona... w koła... skrzydła. Czy coś. Nie wiem, jak on wygląda...

Na ekranie głównym wyświetlił się obraz połyskującego stalą okrętu, najeżonego działkami, złożonego z trzech widocznych modułów: w jednym, najmniejszym, najwyraźniej mieścił się mostek, w kolejnym — sądząc po oknach — pewnie coś w rodzaju kwater czy przedziału pasażerskiego, a na końcu silniki i magazyny. Potężne dysze otaczały wianuszkiem ten ostatni segment. Dopiero po chwili Luciana zauważyła, że środkowa część Drapieżnego wiruje wokół własnej osi.

— Niezwykły — szepnęła dziewczyna, wpatrzona w ruchomy obrazek na ekranie. Właściwie wcale się nie dziwiła fascynacji lokomotywy tym potężnym niszczycielem. Był wspaniały... jak na pojazd, oczywiście. Lucianie przyszło do głowy, że gdyby była maszyną, być może też by do niego wzdychała.

— Po prostu proszę, żebyś się jeszcze zastanowiła. Zostaniemy tu jakiś czas. Wiesz, jeśli zdecydujesz się z nim polecieć, to nie będziemy mogli ci tego zabronić. Ale zawsze będziesz mogła do nas wrócić — oznajmiła w końcu i pogładziła konsolę. Po chwili westchnęła i opuściła lokomotywę, a potem wyslizgnęła się wciąż uchylonymi drzwiami i stanęła na platformie.

— I co? — zapytał zniecierpliwiony Filip.

Pokręciła głową.

— Nie wiem — przyznała ze wstydem. — Ona jest młoda. Zauroczona. Nie damy rady jej niczego wytłumaczyć. Musi się sama przekonać.

— Jak to: sama? A co z nami? Utknęliśmy tu? — jęknął z obawą doktor.

— Nie, ona po prostu musi pomyśleć. Dajmy jej chwilę.

Drapieżny wypatrywał niebezpieczeństw. Wiedział, że jego dom jest stale atakowany przez jednostki węglowe. Nie zamierzał dopuścić, by dobrały się do wylęgarni. By

znalazły montownie i cementarzysko. Krążył wokół tego maleńkiego globu i pilnował. Wyrzucał sobie, że dopuścił do lądowania Pięknej Teodory. Ona sama była co prawda wspa-
niała w swojej dzikości i nieokiełznaniu, ale przyniosła węglowców — i Kryształę tylko
wiedziały, co oni zamierzali.

Niszczyciel obniżył lot i omiółt spojrzeniem okolicę. Widział tylko swój lud, prze-
mierzający przestrzeń w poszukiwaniu pierwiastków życia.

Kiedyś tu będzie wielki, wspańiały świat, myślał, obserwując drobne myśliwce,
które patrolowały niższą orbitę. Wzniosą tu imponujące konstrukcje, w których będą
mieszkać nie niepokojeni przez węglowych. Ich dzieci posiadą umiejętności niedostępne
im samym: dostaną chwytne ramiona, głos — będą się porozumiewać ze swoimi braćmi.
Drapieżny nadto boleśnie odczuwał to, jak prymitywnie został skonstruowany. Jak ogra-
niczone miał funkcje.

Ale to się zmieni — to wszystko się zmieni.

Okrzyżył niewielki glob i zawisł dokładnie nad miejscem, gdzie z ziemi wystrzeliwał
ku górze zakład Starego Katza. Gdzieś tam była Piękna Teodora. Pełna kipiących emocji,
na poły szalona, tak bardzo niezwykła w porównaniu z tutejszymi frachtowcami i bar-
kami.

Drapieżny opuścił orbitę i skierował się ku platformie. Nie mógł dłużej czekać —
chciał ją zobaczyć, porozmawiać z nią. Chciał, by była jego.

— Zbliża się! — zawołała Luciana, widząc rosnący cień na niebie.

Smukły i zwieńczony haczykowatym dziobem, przypominał sokoła. Rozcapierzone
podpory przywodziły na myśl szpony. Miedzianorude poszycie w formie nakładających
się na siebie łusek, spomiędzy których w razie niebezpieczeństwa mogły wystrzelić
działka boczne, w tej chwili gładko przylegało do korpusu.

— Byle teraz za nim nie poleciała — mruknął pod nosem Il Destino, na co Piękna
Teodora gniewnie fuknęła dyszami.

Nagły skowyt syren odciągnął uwagę załogi. Blade plamy białych karłów przesło-
niło mrowie drobnych myśliwców, które zmierzały w stronę platformy z rozjarzonymi do
czerwoności działkami. Generał był przekonany, że nie lecą z pokojowymi zamiarami.

— Zmiotą nas — stwierdził Il Destino.

— Chyba chce nas stąd zabrać — szepnęła jednocześnie Luciana, zerkając na drzwi wagonu, które rozchyliły się szerzej.

Załoganci wbiegli do środka, a w następnej chwili głucho zaskowyczał silnik.

— Kryształy! Potrzebuje więcej kryształów! — zawołał generał, rzuciwszy się do kotłowni.

Nie szukając nawet, gdzie ostatnio cisnął łopatę, otworzył drzwiczki pieca i pełnymi garściami zaczął wrzucać do środka kryształy. Fioletowe płomienie lizały mu palce, a żar omiatał twarz.

Ciałem Pięknej Teodory wstrząsnął dreszcz. Z silników buchnął płomień, koła bezgłośnie oderwały się od platformy, a w maszynowni ekran główny zajaśniał i wyświetliły się na nim jakieś symbole. Pociąg zamruczał silnikami i uniósł się pod bezpieczny cień Drapieżnego. Ten zaś obrócił się i dostrzegł to samo, co przed chwilą di Taverna: zwarty szyk myśliwców, którym nie robiło różnicy, czy węglowych przybyszów ktoś chroni czy nie — chcieli ich po prostu zabić, nim tamci zabiją ich.

Lokomotywa zawyła żałośnie. Niszczyciel odpowiedział jej uspokajającym pomrukiem i osłonił ją własnym, połyskującym ciałem.

— On ją naprawdę chroni... — szepnęła zauroczona Luciana.

— Mam nadzieję, że skutecznie — dorzucił generał.

Piękna Teodora mrugnęła światełkami, ale Il Destino nie umiał tego zinterpretować. Tymczasem Drapieżny rozłożył łuski na wszystkich segmentach i wysunął działka. Kilka myśliwców nie mogło mu zagrozić. Były młode i głupie, a to cechy, które należało tępić. To cechy węglowych.

Niszczyciel splunął pociskami w stronę przeciwników. Lekkie maszyny rozkwitły pomarańczowożółtymi eksplozjami, a ich części rozbryznęły się na powierzchnię planety. Te myśliwce, które ominą ogień Drapieżnego, zatoczyły ostry łuk i wycofały się, ale było widać, że to nie jest ich ostatnie słowo. Na coś czekały.

Piękna Teodora wysunęła się nieco spod bezpiecznego cienia — niespodzianie podleciała do przodu, ustawiła się bokiem i rzygnęła ogniem z działek maszynowych. Widząc, że większość kul zrykoszutowała, lokomotywa przypuściła drugi atak, tym razem zmieniając pozycję i wysuwając miotacz ognia. Błękitny płomień, zasilony przez modyfi-

kowane kryształami Dzikich Alfrów, omal nie roztopił armatki. Ta jednak wytrzymała, najwyraźniej pociągnięta jakąś powłoką ochronną przez Fritza. Strumień ognia niestety nie dosięgnął myśliwców. Piękna Teodora więc bez wahania wyskoczyła do przodu.

Chwilę trwało nim Drapieżny zorientował się, co się dzieje. Lokomotywa przypominała ciemną smugę, która umyka mu spod opieki. Zaczął się obracać, ale to nie była szybka procedura. Nim zwrócił się bezpośrednio w stronę myśliwców, Piękna Teodora była już daleko i nie mógł jej chronić inaczej, niż tylko ostrzeliwując wrogów — co tworzyło ryzyko uszkodzenia także pociągu. Wiedząc o tym i dostrzegłszy samotną lokomotywę, myśliwce ośmieliły się. Rozluźniły szyk i zaczęły obejmować Piękną Teodorę w kleszcze.

— Źle to robisz — warknął generał w maszynowni. — Będą cię mieli na talerzu. Uciekaj stąd, dorzucę kryształ. Powinnaś sięgnąć.

Il Destino przebiegł do kotłowni i dorzucił do pieca. Piękna Teodora poczuła, jak w jej stalowych żyłach płynie świeża energia. Rozgrzawszy mechanizmy do granic wytrzymałości, lokomotywa rzeczywiście wyhamowała i wycelowała miotaczem.

— Nie! — przeszkodził jej znów generał, wpadając do maszynowni. — Wiatr. Zobacz, jaki jest wiatr. Strzelaj z wiatrem, będziesz miała większy zasięg.

Piękna Teodora posłusznie zatoczyła łagodny łuk, by się odpowiednio ustawić. Myśliwce obserwowały ją przez chwilę bez zrozumienia, w końcu jednak uchyliły pokrywy ambrazur i wystawiły smukłe działka. Wystrzeliły niemal jednocześnie z pociągiem. Pociąg przecięty błękitnym płomieniem i werżnęły się w świeżo wypolerowane poszycie. Część przeciwników jednak w panice zaczęła się miotać po przestrzeni, ukąszona przez ogień Pięknej Teodory.

Pociągiem zarzuciło. Generał wpił się dłońmi w pulpit i ustał, ale pozostali załoganci z krzykiem polecili na podłogę.

— Zawracaj. Wycofaj się, to dasz swojemu panu możliwość strzału. Widzisz, że teraz stoisz na linii! — polecił Il Destino

Piękna Teodora mruknęła i pobrzmiwało w tym zawstydzenie. Odwróciła się i prędko wycofała w stronę Drapieżnego, który wreszcie rzygnął ogniem do pozostałych myśliwców.

Nie sięgnął. Przeciwnicy już umykali i dopiero po chwili niszczyciel zauważył, gdzie zamierzają się ukryć: przed nimi rozchyłały się wrota hangarów Szalonej. Krążownik był

większy i bez porównania lepiej uzbrojony od Drapieżnego — owszem, wolniejszy, ale w obecnej sytuacji to nie miało większego znaczenia. Niszczyciel i tak nie miał dokąd uciekać.

W ostatnim zrywie okręt osłonił Piękną Teodorę i po raz kolejny wyrzucił salwę, która jednak nie stanowiła zagrożenia dla świetnie opancerzonej Szalonej. Drapieżny odwrócił się do lokomotywy. Otworzywszy kolejną pokrywę, objął pociąg zielonkawym promieniem.

— Co się dzieje? — szepnęła zaskoczona Luciana, widząc, że wszystko wokół zalewa delikatna, zielona poświata.

— Promień trakcyjny. Coś mi mówi, że powinniśmy się trzymać teraz bardzo mocno — odparł Ívarr i, jakby na potwierdzenie tych słów, uczepił się klamki u drzwi lokomotywy.

Rzeczywiście, po chwili szarpnęło, kiedy promień cisnął Piękną Teodorą w dal. Pociąg przez moment leciał równo, potem zaczął obracać się, tracąc panowanie nad trajektorią, w końcu jednak maszyna zdołała opanować sytuację i znów wyrównać. Uruchomiła silniki manewrowe, potem główny napęd. Generał nie był w stanie dorzucać do pieca, bo leżał na konsoli i próbował nie zwymiotować, toteż nie mogła osiągnąć zbyt dużej mocy, ale rozpęd dany przez Drapieżnego wystarczył. Wkrótce Szalona była już tylko niewyraźną plamą wśród ołowianych chmur, iskrzącą się purpurowo w świetle dwóch niemal wygasłych słońc.

Opuszczali Denumirę bez żalu. Piękna Teodora zdawała się osowiała, jednakże miała świadomość, że nic nie dało się zrobić. Odniosła wrażenie, że większość maszyn uważała ją za przestarzały złom. Nie akceptowały jej, choć przecież była taka jak one — a jednak chciały ją zestrzelić. Dlaczego? Bo w jej trzewiach podróżowali węglowi? Dałoby się to załatwić inaczej. Usunąć ich, kiedy akurat byli na zewnątrz.

Długo nad tym myślała, ale wszystko to były nowe dla niej pojęcia, których nie rozumiała. Leniwie reagowała na polecenia generała, zdawała się nie zwracać uwagi, dokąd leci. Od czasu do czasu pakowała się w przelatujące odłamki skał, nie próbując nawet ich unikać.

— Savio, zrób coś — upomniał di Tavernę Filip.

— Niby co? — Il Destino wzruszył ramionami.

— Cokolwiek. Pogadaj z nią. Jesteś dowódcą, to twoja rzecz.

Generał prychnął z irytacją, ale w duchu musiał przyznać Filipowi rację. Nie mogli dalej lecieć w ten sposób i jeśli do kogoś należało naprawienie sytuacji, to chyba właśnie do niego. Z ciężkim westchnieniem więc wstał z fotela i powędrował do maszynowni.

— To był ciężki dzień, co? — zaczął, siadając na podłodze przy konsoli. Nie czekał na odpowiedź. Domyślał się, że pewnie i tak by jej nie zrozumiał. Pozostawało mu liczenie na łut szczęścia, że dobrze się wstrzeli z wnioskami na temat zachowania lokomotywy. — Mocno cię poharatali, ale chyba już dobrze?

Piękna Teodora prychnęła obojętnie.

— Chodzi o tego twojego pana? Nie wiesz, jak skończył. W końcu to nie jego szukali, tylko ciebie. Wybronił cię. Muszę powiedzieć, że jestem zaskoczony. Chyba... no, chyba jego uczucia były szczerze. Jakkolwiek idiotycznie to brzmi...

Znów prychnięcie.

— Czujesz się stara i niepotrzebna.

Z głębi przewodów dobiegł żałosny skowyt. Il Destino westchnął.

— To tak jak ja. Mamy po tysiąc lat i zostaliśmy sami. Nawet nasi nas już nie chcą. Damy sobie radę. Jak złom ze złomem.

Cisza, ale generał miał wrażenie, że to cisza wyrażająca milczące porozumienie.

— Ale może chociaż dla jednego z nas jest nadzieja — podjął Il Destino. — Nie wszędzie chyba jest tak jak tam. Spróbujemy znaleźć miejsce, gdzie będą umieli cię przebudować? Może jakaś mała modernizacja nie zaszkodzi, wiesz: nowe poszycie, może w ogóle nowy wagon, mocniejsze silniki, wygładzić tu i ówdzie kształty...? Chlapnąć świeży kolor?

Piękna Teodora zadrżała jak chichoczący podłotek.

— Czyli pisałabyś się na coś takiego? A więc stoi. Ale wiesz, spróbuj na razie trochę się ogarnąć, co? Wiem, nie jest ci łatwo. Ale musimy jeszcze dolecieć do tego miejsca w jednym kawałku. Rysami póki co się nie przejmuj. To blizny. Traktuj je jako pamiątki. Choćby i po tym twoim niszczycielu. Nie chcesz go zapomnieć, co?

Pulpit załśnił kolorowymi lampkami.

— I co? — zapytała zaniepokojona Luciana, kiedy Il Destino wrócił z maszynowni i zaczął układać się na swoim posłaniu. — Dogadaliście się? Powiedz, że jej niczym nie uraziłeś... Jak poszło?

Generał wzruszył ramionami i obrócił się przodem do ściany.

— To już? — odezwała się Viorica zduszonym szeptem. Szklanka dawno była pusta, a dziewczyna ścisnęła szkło i wpatrywała się niewidzącym spojrzeniem w starego dziwaka. — Co się stało z Drapieżnym?

Ślepiec wzruszył ramionami.

— Nie wiem — odparł cicho.

— I to wszystko prawda?!

— Oczywiście. — Stary dziwak wydawał się urażony. Dopił swoje piwo i otarł usta. — Dlaczego ktoś miałby w to wątpić?

— A co jadł Fritz, skoro tam były same maszyny?

Rozmówca uśmiechnął się krzywo.

— Sprawdzasz mnie? No więc pożywienie dostarczały mu frachtowce międzyplanetarne. Był ich kapłanem, normalne chyba, że dbały o jego potrzeby.

— Ale przecież...

— Młoda damo! — Mężczyzna wstał i huknął otwartą dłońią o kontuar. — Nie szukaj dziury w całym! Zbyt długo — tu nastąpiło chrząknięcie — pamiętam tę opowieść, żeby popełniać tak banalne błędy!

W lokalu zapadła cisza. Nie wiedząc nawet kiedy, większość gości zgromadziła się wokół starca i wsłuchiwała w jego opowieść. Barman rzucał niechętnie spojrzenia na ten tłumek, który od dłuższego czasu niczego nie zamawiał, i nerwowymi ruchami czyścił tubę poczty hydraulicznej, zwieszającą się nad barem.

Stary dziwak ukłonił się nagle, po czym — wcisnąwszy na głowę kapelusz o szerokim rondzie — podreptał do wyjścia.

Nikt nie dostrzegł uśmiechu, w jakim rozciągnęły się jego wąskie usta, gdy opuścił pub i ściągał z czerwonych ślepiów poszarzałą chustę.